

Piotr Jargusz

## Sztuka pamięci

*moim*

*Nauczycielom*

Boże daj nam długą zimę  
i cichą muzykę i usta cierpliwe  
I trochę dumy zanim  
skończy się nasz wiek.  
daj nam zdziwienie  
i płomień wysoki jasny.

Adam Zagajewski

Szliśmy Kościuszki w stronę Jubilat. Jesienny wieczór siedemdziesiąty szósty rok. „Będziesz potrafił? – zapytała z obawą matka. – A jak ci się nie będzie chciało malować...”

To co?

•

Pierwszy prawdziwy obraz namalowałem na Skałecznej. W zimie. Na koślawym blejtramku zwiślało płócienko. Było zimno i farby traciły kolor. Znajoma malarka nie służyła dobrą radą. „Na razie musisz się nauczyć rysować ołówkiem” – powiedziała.

Prawdziwe farby przyniosła matka. Przepraszam, Święty Mikołaj, uwierzył, że potrafię. Później nauczyłem się kochać cudze obrazy. Może nie kochać, ale potrzebować. Właściwie nie obrazy, ale reprodukcje na kredowym papierze z tanich radzieckich albumów. Prawdziwego van Gogha zobaczyłem później w Amsterdamie... w Rotterdamie... Włączyłem alarm, bo musiałem dotknąć. Mojego Malewicza zobaczyłem akurat w momencie, gdy w minutę później odpadły kółka w niebieskim wózku Helenki. Musiałem zjechać i prosić na pobliskiej budowie francuskiego robotnika o gwóźdź, żeby je zaklinować. Później były moje pierwsze prawdziwe Vermeery, Breughle, Bosche, Rembrandty, mali Holendrzy, wielcy Hiszpanie, cisi Francuzi, inni moi bliscy, starzy znajomi.

Największą przyjemność sprawia mi patrzeć na obrazy wiszące w swych naturalnych miejscach (szkoła Karola Estreichera), w domach, kościołach, klasztorach, kółkach, gdzie współistnieją ze światłem, zapachem domu, gotowanej zupy, a przede wszystkim z ludźmi. Dlatego mam w Krakowie miejsca, gdzie chodzę oglądać osiemnastowiecznych Indian, męczenników bez głów, okręt na wezbranym morzu, morskie potwory. Mam też rodzinę aptekarza z piętnastego wieku, pod krzyżem, obok odcisku średniowiecznej stópki. Po drodze mogę popatrzeć na przyczętą

twarz Gamrata i wzruszające romańskie wsporniki z małymi twarzami o tak znanym wyrazie, że kiedy to piszę, mam je przed oczyma. Są w Krakowie moje ulubione średniowieczne i gotyckie zwierzęta: kot, ślimak, kret, jaszczurka, są twarze aniołów, bliskie epitafia, chrzcielnice, krucyfiksy, kilku Frasnoblwych, kilka pięknych Madonn, z tą naszą, z jabłkiem. Są widoki miast ze srebrnej blachy, jest ornat Piotra Kmity ze Świętym Stanisławem i kapa koronacyjna Korybuta Wiśniowieckiego, którą zakłada mój ulubiony krakowski duchowny w czas Rzurekcji, kiedy błogosławi ludziom i miastu monstrancją Dąbskiego. Też moją. Tu był mój początek drogi.

•

Nauczyciel Bohumil Hrabal mówił o szukaniu kładki, którą trzeba znaleźć, żeby przejść z jednego końca siebie na drugi. Malarz mógłby dodać: przejść w ciszy. W ważnym dla siebie milczeniu. Ważnym i znaczącym.

Umiłuj milczenie, pisał Izaak z Niniwy, bardziej niż wszystkie inne rzeczy. Przyniesie ci owoc, którego język nie jest w stanie opisać. Niech Bóg da doświadczenie tego czegoś, co rodzi się z milczenia. Bądź miłośnikiem milczenia, jeżeli kochasz prawdę. Milczenie jest jak światło słońca. Oświeci cię w Bogu i uchroni od widma ignorancji.

Tyle ważnych spraw. W szybkim mijaniu. Wszystko poza malarstwem, poza malarskie problemy. Niemalarskie radości. Stażewski mówił, że sztuka jest działaniem duchowym, a Bacon, że aby malować, trzeba mieć ważny powód.

A co ja? Sięgasz mi do ramienia Helenko. Masz srebrną hulajnogę. Znów posiadaliśmy na trawie pod dębem. Zapaliliśmy ognisko z zapalek z pubu Stoń, gdzie zjedliśmy dwie kiełbasy, popijając herbatą z plastikowych kubków, butami rzucaliśmy w kasztany. Grasz na flecie prostym drewnianym (profesjonalnym, kupionym w sklepie muzycznym) bardzo starą góralską melodię. Pytasz mnie, dlaczego niektórzy ludzie są źli. Jak to się ma do obrazu, że się o Ciebie martwię. Jakie to niemalarskie.

•

Kiedyś napisałem o swoim malowaniu, o obrazach, że są to moje obrazy podrózne. Z wędrówki w sobie, w czasie, przestrzeni i tajemnicy. I że to balansowanie na granicy odkrytego i zakrytego jest dla mnie najważniejsze. Z tego wyznaczenia granic mojego świata, z tych śladów, znaków zapisów, tworzę prywatny pamiętnik mojego czasu, moich wzruszeń, moich obsesji, mojego szczęścia. I z tego lepiej moje obrazy, w archaiczny sposób oczyszczam się. To są moje obrazy z drogi.

Tyle dróg widzianych. Ważnych i bliskich. Ta nad rzeką – ważna, ta na Kopiec – serdeczna, ta do miasta – nasza, ta obok kapliczki – znacząca, ta za Jurgowem – letnia, te w miastach – znajome. Te autostrady świecące się nocą i ta biała, przez żółte pola, którą widzieliśmy pod Paryżem, i ta, którą usiłowałem namalować, i te z kociami łbami – z samego dna pamięci. Tyle dróg pozornie nieznaczących, banalnych, droga do łazienki, droga do kuchni, do sklepu, do parku z psem, do lekarza, do Carrefoura, na Krzemionki.

I moja podróż po Panorامية Mons Calvariae Brauna z 1617 roku, kiedy siedzę przy stole w kuchni i patrzę na zamek w Lanckoronie ze zwodzonym mostem, wielki stary las, drogę, psa pijącego wodę ze strumienia, pielgrzymów i biczowników w szpiczastych kapturach z chorągwiemi, i wielki kwiat na ogromnej łodydze w centrum pierwszego planu.

I ta ostatnia droga. Efektowna, prywatny przepis dojścia do Afryki.

Wychodzę, idę do głównej ulicy wśród trzciny, po lewej figus i kaktusy, po prawej trzciny i osiedle. Potem skręcam za sklepem w prawo, na miasteczko wodne Privillidge, przechodzę koło piekarni Hindusa (psy) i dalej, obok przejechanego borsuka i jaszczurki, pod autostradę i wiadukt. A potem obok skrzyżowania na Modi drogą do Patelari i na Kirtimodo. Za kapliczką w bok. I Afryka. I stary autobus zarośnięty, a za nim oliwki i czerwona ziemia. A potem znów Patelari i kawa gliko... i kobieta z rybą, i świnia... i droga w bok, i dalej...

Rzeczywistość dotykalna, gęsta, fizycznie ciężka.

Już wiemy, jak chodzi się po gajach oliwnych, z czarnymi siatkami omotany mi na konarach jak u tych, którzy robią groźne miny. Wiemy, jak wygląda ojciec Nektarios i siostra Teodozja w klasztorze o złotych schodach. Ona siedzi cierpliwie i spełnia świętą misję małpki do fotografowania, a turystyczni pstrykacze przysiadają obok i udają przez moment świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie i życie wieczne.

To już wiemy.

•

Tego lata zobaczyłem mój łuk. Rankiem, w rogu zamkniętego sklepu. Kawalek patyka i sznurka. I przypomniała mi się książka, którą czytałem piętnaście lat temu. Tam napisano, że cała sztuka tkwi w metodzie, w drodze, a nie w samym trafieniu do celu. Kupiłem go i powiesiłem na ścianie, na wszelki wypadek.

•

5 czerwca 2001 roku będziemy w Wilnie na mojej wystawie. Pretekst, bo nie o nią naprawdę chodzi. Pewnie uklękniemy pod Ostrobramską. Może damy na mszę za dusze wujków Stefana i Józefa i za prapradziadka powstańca, co go z połamanymi żebrami Kozacy wlekli siedemdziesiąt kilometrów zimą, do naczelnika, który spytał, czemu jeszcze żyje.

A ja wiem, że stanę, popatrzę, wciągnę powietrze – będziemy w Wilnie. Blżej Uciany, Gajdymancy, Wilkomierza, pielmieni z octem i pieprzem i chleba z cukrem. Za księcia R. Panie Kochanku wypijemy w hotelu litewską wódkę, a może i za Borejkę w kapliczce? Dałbym też na mszę za nasze – ich psy, legawce z trzema włoskami na brodawce pod pyskiem, do polowań.

Właściwie to podróż do opowiadań z dzieciństwa, a może z tęsknoty za nimi. Przecież nie ma tam ani domu nad jeziorem, ani orzecha, ani ciotki Frackiewiczowej, właściwie nic mnie tam nie powinno ciągnąć, to nie był mój świat, ani tamta ich Litwa, ani tamta ich Syberia. A jednak. Myślę, że magnetyzm tych opowiadań i dym z popu-

larnych, który im towarzyszył, i szafirowa kanapa, sprawiły, że pojedziemy. Napijemy się herbaty podanej w szklankach, pójdziemy do kościoła patrzeć na nasze herby i stare cudze babcie, na miejsca po oderwanych drzazgach w ławkach popisanych długopisem. Wciągnąć zapach pasty i wody święconej, i kurzu, i tych wszystkich unoszących się w świetle cząsteczek, do niczego niepotrzebnych, jedynie do tego, by być.

Chronię tego swojego prawa do niewiedzenia wszystkiego, tej mojej drogi do tajemnicy. I kiedy leży przede mną nagi człowiek w całej swej bezbronności, a ja maluję, czy częściej chodzę i robię korekty, czy jak leży kilka przedmiotów, tak zwana MN, to czasem czuję, że dotyka mnie krucha tajemnica i jednocześnie spada jakaś niewidzialna zasłona, i jest to jakieś sensualne przeżywanie świata poszerzonego o tych kilka przedmiotów, o tego człowieka, o rysunek domu. Więcej o jedno spotkanie. I w tym ta chęć rozumienia wszystkiego by mi przeszkadzała. W tym przeżywaniu i poszerzaniu mojego świata o światy innych. Bliskich i obcych.

Coś z mojej żony, coś z dzieci, Helenki i Olgi, coś z naszych psów. Coś z Jolki Tokarskiej, coś ze Zbyszka Zamołojki. Coś z Pani Rapacz, coś z Ryśka Bartkiewicza, coś z Jurka Najdera, coś z sąsiadów. Coś z Zagajewskiego, Myśliwskiego i Chwina. Coś z Herberta, Herlinga i Julii Hartwig. Coś z Kochanowskiego, Krynickiego i Kieślowskiego. Coś z Mickiewicza, coś ze Słowackiego. Coś z księdza Wujka i coś z Kuncewiczowej.

A może coś z Felliniego, Larsa von Triera, Almodóvara czy Tornatore, coś z Michałkowa i Paradzanowa... Wszystko ze wszystkich.

Doświadczenie i doświadczanie spotkania z innym człowiekiem, z innym światem. Wobec różnych tożsamości.

Tożsamość. Czy Anglicy jedzą ludzi, zapytałem żartem, a Anthony Soucroft odparł: „Yes, English people eat people i popijają krwią”.

Pięć miesięcy później siedzieliśmy w domu naszego przyjaciela Zbyszka Zamołojki rozmawiając z Panem Piotrem. Opowiadał o popie, który wybił zęby chłopcu w cerkwi i musieli ją na nowo poświęcić, i że we wsi jego matki, na Ukrainie pod Połtawą, w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim jedli małe dzieci. „Panie Pioter – mówi – jak jakie było słabe, to na łopatę i do pieca. Piekli i jedli”.

Dlaczego wszystko, co istotne i najważniejsze w polskiej literaturze jest nieprzetłumaczalne, skazane na niezrozumienie, pyta Marcel Reich-Ranicki (papież niemieckiej krytyki literackiej), a to, co daje się przetłumaczyć, jest mierne. Czy dotyczy to tylko literatury? Czytam rozmowę z Wojciechem Misiągiem i zdanie „że cała filozofia wejścia Polski do Unii Europejskiej zakłada, że nie damy się zalać obcą sztuką”. Czy to tylko histeryczna ksenofobia? A może mamy zadany kiedyś, każdy z osobna, każdy kiedy indziej, bardzo indywidualny powrót do Domu. Motyw już od Odysa...

O powrocie do domu na Wołyń babcia Zbyszka mówi: „Jakbym tam pojechała, to by mi serce pękło”. Mojej, kiedy powoli osuwała się w niebyt, śnił się rodzinny dom. „Jestem z Kozłówka, jestem z Kozłówka”, wrzeszczy zakrwawiony chłopak pobity przez kibiców Legii na peronie Dworca Centralnego w Warszawie. Absurdalny okrzyk?

Co my powiemy na temat głębokich zmian, które wynikać będą z globalizacji, integracji i nowej technologii komunikacji? Niektórzy już teraz piszą o konieczności kulturowych weryfikacji. Co znaczy kulturowa weryfikacja? Pozostaje postawić pytanie o pojęcie tożsamości, rozważane zarówno w jednostkowym, indywidualnym wymiarze, jak i tożsamości kultury polskiej.

Istnieją dwie kultury. Stara kultura pamięci i nowa kultura zapomnienia – za nauczycielem Tomaszem Venclovą. Wielu niepokoją mechanizmy nowoczesnego rynku i globalizacji, które mogą zniszczyć to, czego nie zdołały zniszczyć reżimy totalitarne.

W kulturze współzawodniczą mechanizmy pamięci i zapomnienia. I oba są potrzebne.

W żadnym społeczeństwie pamięć nie jest przywilejem każdego człowieka. W społeczeństwach starożytnych przywłaszczyli ją sobie bardowie i znawcy pisma, w afrykańskich i azjatyckich byli i jeszcze są przepowiadacze dziejów plemion i rodów. Dzisiaj strażnikami pamięci są, czy muszą być, pisarze. I intelektualiści. Czy malarze? Myślę, że też, by nie powtórzyć za bohaterami *Wesela*: Myśmy wszystko zapomnieli...

•

Pamięć. W moim rodzinnym domu w dzieciństwie światy i doświadczenie ostatnich trzech pokoleń przenikały się. To najstarsze, mimo że dorobek swojego życia po raz trzeci straciło, zachowało pamięć. Życie i pamięć.

Jak wracam do domu od Heli, otwieram okno na korytarzu w pociągu. Lubię stać i patrzeć. Patrzę na 292 kilometry pól – łąk – domków – pól – chmur – ptaków na niebie – wiaduktów – lasów – kul jemioty na drzewach – pól – garaży – płotów – kominów w pasy – dróg. Patrzę z czułością. To jest mój świat, z tego świata się wzięłem i pewnie w nim umrę, powtórzę za nauczycielem Krzysztofem Kieślowskim.

Siedzę ze Smętkiem w kuchni na Wysokiej, opowiada mi o karabinach w studni i że na jego polu pszenicy zginął w trzydziestym dziewiątym polski żołnierz, i że mogę sobie wykopać, jak chcę, i hełm i radiotelefon. Tylko jak on tę pszenicę skosi.

Pamiętam też noc, zimą, kiedy w wojsku pilnowałem jakichś baraków i poszedłem się ogrzać do kotłowni, a tam stary palacz opowiedział mi najprawdziwszą historię o Kraku i jego córce Wandzie. O trzeciej w nocy opowiadał mi to tak, jakby to była historia z jego życia. Oboje wiedzieliśmy, o jaką Wandę chodzi.

I wiem, że miała rację ciotka Güntera Grassa mówiąc: „Wiesz Günterku, na Zachodzie jest lepiej, ale na Wschodzie jest ładniej”.

Ile razy wchodzę do piwnicy, to najpierw patrzę na leżącą po prawej stronie na solidarnościowych gazetach misterną słomianą kasetkę z czerwonym wnętrzem. Ojciec przywiózł ją po wojnie z Cieszyna. Chciałem dawno ją spalić i była już w piecu. Coś skłoniło mnie, żeby w ostatniej chwili ją wyjąć. Zajrzałem pod jej wyściółkę i znalazłem pogiętą tekturkę zapisaną jidysz. Przypadek, a może nie, pomyślałem. Może to ja mam tę kruchą cząstkę, ślad po jakimś człowieku zachować. I tak leży w piwnicy. I patrzemy na siebie.

Czy jesteśmy marzycielami, pytam za nauczycielem Sebasiao Salgado, który pisze:

Historia jest niekończącym się pasmem poniżeń i katastrof, ale także świadectwem możliwości człowieka z własną jego zdolnością do przetrwania. W historii nie ma samotnych marzeń. Każdy marzyciel obdarza życiem innych. Przeznaczeniem mężczyzny i kobiety jest stworzyć nowy świat. Po to aby odkryć nowe życie, po to aby pamiętać o granicy wszystkiego poza snami. W ten sposób tych dwoje zmienia, dopasowuje, wytrzymuje, wierzy i trwa.

„Jesteśmy jak trawa” – mówi Leszek Dutka, kiedy jedziemy tramwajem w stronę dworca. Myślę – tak. Jak trawa. Wieczni.

I wierząc za ojcem Salijem, że panem historii jest Bóg, zgadzam się z nauczycielem Zbigniewem Herbertem, że człowiek nie pomieści w swoim sercu całego globu. Najważniejsze w jego sercu zajmuje po staremu inny człowiek, dom, wioska.

•

Epizody z przeszłości. Tego określenia użyła Iwonka w wywiadzie z Ryszardem Horowitsem.

Cyganów z niedźwiedziem na łańcuchu na małej stacyjce pod Katowicami nie potrafię, nie da się ich opisać. Miałem 10 lat. Wracalem z matką z wakacji nad morzem. Albo fotoplastikon. Najpierw strzelałem, a potem w mroku przez okular, na palcach, oglądałem brytyjską królewską rodzinę. Albo stara tandeta, jak z *La Strady*. Srebrna cukiernica, fajka z morskiej pianki w pudełku wyścielanym wyblakłym bordowym pluszem, czy kasztany w Parku Ujazdowskim zrzucane drągiem ze śmietnika i my z Olgą, siedzący i pijący kawę z widokiem na Rynek.

Przychodzi mi tu na myśl sztuka Paula Klee i Neil Postman, cytowany przez Stanisława Lema, że istotą dzieciństwa jest tajemnica. Istotą świadomości malarza też jest tajemnica. I tajemnica przeniesienia.

Kiedy Fryderyk Chopin grał dla Adama Mickiewicza, tylko dla niego, Mickiewicz na koniec powiedział: „Dziękuję Ci – przeniósłeś mnie”.

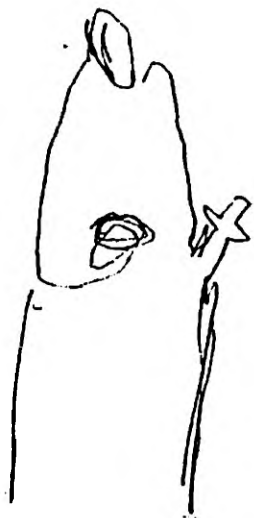
•

Świętość. Wiele lat temu na targu pod wiaduktem spotkaliśmy Marię – i stopy ikon w zagraconym pokoiku. W gazetach i pudłach. „Piękne pismo, szkoła Paleh, bardzo stara” – mówiła patrząc w oczy i przekrzywiając na bok głowę.

Wtedy poczułem, że tęsknię za prawdziwie świętym obrazem. Kiedy Ola wypchnęła tego lata z ikonostasu plecami ikonę Sofii – Mądrości Bożej, żalowałem, że wkładając ją z powrotem, nie pocałowałem jej, bo jedną z najbardziej fascynujących mnie relacji człowieka z obrazem jest widok starych kobiet głaskających i całujących ikony.

Dzięki temu grzebaniu w pudłach, ważeniu w rękach, wachaniu przesączonych oliwą i kadzidłem ich świętych przestrzeni mam poczucie realności świata duchowego.

Myślę, że to, co ludzi porywa w dziejach sztuki, to dzieła, w których toczy się gra czy walka o wartości. Dobra ze złem. Piękna z brzydota, ładu z harmonią.



*Autoportret wielkanocny,*  
rysunek farbą, 7 x 11 cm



*Helenka, rysunek*  
długopisem, 8 x 6 cm



*Zapalka,*  
rysunek tuszem,  
8 x 6 cm



*Gwiazdy, rysunek farbą, 7 x 11 cm*



Z cyklu: *Relikwiarze*, 1994,  
farba, papier 100 x 70 cm



Z cyklu: *Człowiek*, 1985,  
olej, płótno 50 x 40 cm





Z cyklu *Człowiek*, 2001,  
farba, papier, 100 x 70 cm



Z cyklu *Dom*, 2000,  
farba, papier, 100 x 70 cm



*Leżąca*, 2004, farba, papier 100 x 70 cm



Nauczyciele. Sam nie wiem, ilu ich było, jest, będzie. Moja żona nauczyła mnie... ale że ja wcześniej nauczyłem się chronić swoją prywatność, więc... cenzura. Matka nauczyła mnie lubić ludzi, chodzić „kilometrami na wycieczki”, wierzyć w duchy opiekuńcze, palić ogniska, gryźć chleb z końca i całować, gdy spadnie. Ojciec – dotrzymywać słowa. Babcia – zbierać i oglądać w palcach, jeść z apetytem, podnosić dwoma palcami rozżarzony do czerwoności węgiel z podłogi, wrzucać z powrotem do pieca, pić oranżadę z butelki. Dziadek, który uciekł z domu do Legionów i walczył w czterech wojnach, zapytany przeze mnie, ilu zabił Niemców, ładnie wybrnął, powiedział: „Nie szedłem na wojnę, żeby zabijać”. Siedział w fotelu przy piecu, a fotel miał spadającą poręcz. Pamiętam gest poprawiania tej poręczy...

Kim byli moi pośrednicy w obcowaniu z wielką sztuką?

Pierwszy mój nauczyciel malarstwa, Sylwester Sasin, pochwalił mnie za rysunek. Uwierzyłem, że potrafię. Byłem może dopiero miesiąc w Liceum Plastycznym, kiedy w Pałacu Sztuki podszedł, podał rękę. Dlatego nie wierzę, że zastąpią nauczyciela rysunku rady Stana Smitha, w miękkiej oprawie za 32 złote, jeśli komuś na początku drogi zabraknie takiego Sasina, który kręcąc guzikiem zapyta: „A ty, te małe akwarelki dalej malujesz? Bo to taka trudna technika”.

Drugim był Piotr Jarza. Siedział na lekcjach w kącie pracowni. Kwadratowy i małowówny. W brązowej marynarce i brązowych pionierkach. Kiedyś na Rajskiej mówi mi: „Piotrek, patrz, my tu mamy takie swoje średniowiecze, królów na Wawelu, można popatrzeć na Jagiellończyka, Zygmunt bije... Przenikanie się światów. Jak mnie pytają, skąd jestem, to odpowiadam: narodowość krakowska. Mnie tu dobrze”.

W latach osiemdziesiątych, w katalogu do jednej ze swoich wystaw napisał: „Interesuje mnie świat widzialny i obce są mi wykresy statystyczne, linearne i kolorystyczne, pod które podkłada się różne treści, koncepcje i domniemania. Piotr Jarza”. A ja dopisałem długopisem: Piotr Jargusz.

A może jednak istnieje jakaś ciągłość rytu krakowskiej sztuki?

Roman Kaczor, z tej samej szkoły, „rzucił” nam przezrocza na ścianę. Opowieści z Zalipia i o Jacku Symbolewskim. A my słuchaliśmy o blaszanych aniołach i potrafililiśmy uwierzyć, że jesteśmy chorzy na sztukę. My II b. Mówił: „jak zobaczycie kiedyś pałac w Knossos...” I kiedy zobaczyłem, to za jego wskakiwanie na stół i robienie głupich min zmówiłem wieczne odpoczywanie.

Marzyłem o Akademii. Za pierwszym razem nie dostałem się. M. i B. płakały, bo wojsko, a ja pisałem razem z odwołaniem: „Witamy Lecha Wałęsę w Krakowie”. Jedno leżało w dziekanacie, drugie wisiało na kościele Dominikanów.

Za drugim razem dostałem telegram: „Gratuluję”.

„Ja cię ubiorę prima-sort”, ryczy Dzik... Gipsowe figury w mroku, trzeszczące fotele kryte czerwoną dermą. Magia. Art bez biznesu.

Pamiętam z liceum, że przed pokojem nauczycielskim wisiał obraz Cybisa. Nie wiem, czy zaglądałem, co namalował z drugiej strony, czy głąskałem tę skorupę chropowatą, kostropatą, zgorzel ostry jak żużel. I wyszedł, rudy, krótko ostrzyżony, i po-

wiedział: „Ja też tak robię”. Później (osiemdziesiąty pierwszy rok) czytałem jego tekst w Biuletynie ZPAP o Nikiforze, bardzo mi się podobał, w ładnej, ludzkiej kondycji. Stanisław Rodziński. Dzięki niemu wtedy czytaliśmy *Patrząc* Czapskiego i jedliśmy pomarańczowy ser.

Pamiętam Nowosielskiego, który mówił, że malarstwo dotyka rzeczy niezbadanych, niezdefiniowanych, i że jeżeli ktoś bierze je na serio, to jest bardzo niebezpiecznie, bo to jest walka dobra ze złem. Że kiedy malarz zdaje sobie sprawę, że nie ma białego i czarnego, to wtedy jest rozdrapywanie ran.

Pamiętam Panią Celinę Styrylską na tle białych drzwi. Zjawisko opowiadało o Paryżu i psach. Nawet Jarek Kobyłkiewicz słuchał, a to coś wtedy znaczyło.

Buczek dał mi stypendium, Kunz kulturę słowa i czynu, Brzozowski cukierka, Orbitowski opowieści o rybach, a z Ignacym Trybowskiem siedziałem sam na sam na nadto wczesnej rannej historii sztuki. Mógł powiedzieć: Jest tylko pan, proszę iść do domu. Ale nie powiedział.

Włodzimierzowi Kunzowi zawdzięczam dwie piękne opowieści o duchach i kobiecie w czarnej sukni w strugach deszczu... „Wracałem wieczorem – mówił – z malowania kościoła, droga pusta, między polami, dużo czasu, noc. I ucieszyłem się, widzę postać dziewczyny w mini i w butach na koturnach, takie na początku lat siedemdziesiątych były modne. Przyspieszam, żeby dogonić, akurat w tę samą stronę szła, i zbliżając się czuję, że zauważam coś dziwnego, jej buty wydają odgłos jakby były z żelaza. I akurat w momencie, gdy ją mijam, widzę, z tyłu jedzie samochód – oglądam się, żeby zobaczyć ją z przodu i widzę tylko światła ciężarówki. Ale odgłos tych butów upiorny, jakby ważyły tonę...”

Dlaczego wracam do nich, przecież uczyli mnie różni ludzie, uczyli patrzeć, czytać, chodzić, słuchać, jeździć samochodem, cieszyć się, uczyli wybierać, uczyli geografii ciała i uczuć. Uczyli wagi pozornie nieistotnych zdarzeń – uczyli żyć. Czy z tęsknoty za mistrzem, w tym przypadku zbiorowym, czy może bardziej z chęci powiedzenia dziękuję, z którym się spóźniamy. Powiedzenia w przestrzeń, bo adresatów jest wielu.

Ucząc, mogę w małej części oddać to, co kiedyś mi ofiarowano, spłacić dług, pamiętając o tych, którzy mi pomogli w przygodzie ze sztuką, ale bardziej w przygodzie ze sobą i własną duchowością.

Czego uczyć? Oprócz warsztatu.

Odwagi? Wiary? Ciekawości?

Pragnienia szukania własnej legendy, za nauczycielem Paulo Coehlo?

Godnej formy człowieczeństwa, za nauczycielem Vincentem z Gogh?

Opowiadania prostych historii, za nauczycielem Vermeerem z Delf i Jean-Baptiste Chardinem, czy dążenia do tego jedyne obrazu, co przypomina poszukiwanie kamienia filozoficznego, za nauczycielem Francisem Baconem?

Może odwagi myślenia i malowania do końca, za nauczycielem Józefem Czapskim.

A czego unikać?

Po pierwsze, nie szkodzić.

A wracając do tamtego pytania: „Będzie ci się chciało malować?”  
Będzie.

Kraków 13 XII 2000

## Piotr Jargusz

urodzony w 1960 r. w Krakowie. Studia na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Wydział Malarstwa. Dyplom: 1987 r. Kontynuował studia na Wydziale Grafiki. Ukończył Studium Pedagogiczne ASP. Malarz. Profesor w Instytucie Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie. 56 wystaw indywidualnych i udział w ponad 100 zbiorowych w kraju i zagranicą. 1987, 1990, 1997 – stypendia twórcze Ministerstwa Kultury i Sztuki. Członek ZPAP oraz TPSP w Krakowie i Lwowie.

[www.piotrjargusz.com](http://www.piotrjargusz.com)

**Wystawy indywidualne:** 1987, Galeria Farbiarnia, Kraków, Galeria Forum, Kraków, Galeria Nr 4 BWA, Kraków; 1988, Galeria Floriańska 34, Kraków; 1990, Galeria Podbrzezie, Kraków; 1992, Galeria Space, Kraków; 1993, Galeria BWA, Tarnów, Galeria BWA, Nowy Sącz, Galeria DAP, Warszawa, Galeria Podbrzezie, Kraków; 1994, Galeria Pryzmat, Kraków, Galeria Podbrzezie, Kraków; 1995, Galeria Podbrzezie, Kraków, Galeria BWA, Sandomierz; 1996, Galeria Temporary–Contemporary, Kraków; 1997, Galeria Temporary–Contemporary, Kraków, Galeria Promocji, Kraków, Galeria RO(A)MB, Andrychów; Galeria Zamek, Sucha Beskidzka, Galeria Instytutu Polskiego, Praga; 1998, Galeria BWA, Częstochowa, Galeria BWA, Rzeszów, Galeria BWA, Krosno; 1999, Galeria BWA, Wałbrzych, Galeria BWA, Nowy Targ, Galeria BWA, Zakopane, Galeria BWA, Tarnów, Galeria BWA, Gorlice; 2000, Galeria BWA, Warszawa; 2001, Galeria Polska, Wilno, Centrum Sztuki Solway, Kraków, Muzeum Sztuki, Krasnojarsk; 2002, Krynica (Symposium Psychiatrów Polskich), Galeria Podbrzezie, Kraków; 2003, Galeria BWA, Przemyśl, Galeria Związku Artystów Litewskich, Kowno; 2004, Galeria BWA, Toruń, Galeria BWA, Sandomierz, Galeria BWA, Jarosław, Galeria BWA, Dębica, Galeria Polskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, Lwów, Galeria POSK, Londyn; 2005, Galeria BWA, Bydgoszcz; (Wystawa retrospektywna 1985–2005), Galeria BWA, Sandomierz, Instytut Polski i Galeria RA, Kijów; Galeria Uniwersytetu Pedagogicznego, Kijów, Galeria POSK, Londyn; 2006, Galeria Instytutu Polskiego Sofia, Galeria Instytutu Polskiego, Bukareszt, Centrum Sztuki Galeria El–Elbląg, Galeria Instytutu Polskiego – Mińsk, Galeria Instytutu Polskiego Sankt-Petersburg.

## The Art of Remembrance

### Abstract

Piotr Jargusz, a graduate of the Krakow Academy of Fine Arts, currently, a professor at the Art Institute of the Cracow Pedagogical University, in his individual exhibitions, contains the idea of a painter on the road, a contemplative painter. The recent series of works (including the ongoing project “Home”) have one problem in common – identity. The paintings and drawings

are the artist's reaction to the pervading existential dilemmas and questions about the private spiritual sphere, a form of naming and providing a contour for important and unimportant thoughts and events. He concretizes ideas of art in them, as methods of studying the world, creating a situation in which the painter is enabled to look into the realms escaping cognition. They are also a reflection concerning the artist's important journeys.

*The Art of Remembrance* is a text in which the author writes about the passion, the experience of meeting another human being, another world. He also reflects on the old culture of remembrance and the new culture of oblivion, with its Polish variety that is known to him. He is fascinated by the quest for the image, the genealogy of thought, and the mystery of relocation – returning home.

The text is devoted to great artists-teachers whom the author was privileged to meet.